

MARJA BRUCHNALSKA

CUDA BOŻE
NAD
DZIEĆMI I MIESZKAŃCAMI
LWOWA
CZASU OBLĘŻENIA RUSKIEGO
R. P. 1918—1919

LWÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI NAUKOWEJ
(POLSKIE TOW. PEDAGOGICZNE, LWÓW — M. ARCT, WARSZAWA)
1921



CUDA BOŻE

*Herbertowi Hooverowi
Czcigodnemu Opiekunowi Dzieci*

CUDA BOŻE

obraz ten skreślił

MARJA BRUCHNAŁSKA

We Lwowie, dnia 26 czerwca 1920 r.

Herbertowi Hooverowi

Województwo Wielkopolskie, Powiat Poznański

CUDA BOŻE

Województwo Wielkopolskie, Powiat Poznański

MARIA BRUCHNALSKA

Województwo Wielkopolskie, Powiat Poznański

2

Herbertowi Hoover'owi
Czcigodnemu Opiekunowi Dzieci
w hołdzie

obraz ten skreśliła

MARJA BRUCHNALSKA

We Lwowie, dnia 26 czerwca 1921 r.

rozwałki kominy z łaskotem, rozdarłszy pierśi domów
ryną. A jednak — z jednak trywały, rzedwie dachy,
mieszki się nad kościoły i domy, my je rzedwie w po-
obłoki szaro-niebieskie. Ktoś w pełne szrony
czyły raz wiało światliste weło mły rzeki, to
światła i wachód i zachód, północ czy południe zna-
mowało podzieli rzeki na miasto z czterech stron
szronem, nie stało przez pół roku z pażerami
nietuła w dziejach świata. Noc i dzień nicła mi-
Czyba niewiele jest podobnych i stonach wymienia
ślednia bura, pełna góry — a zdało się — był koniec
okolicy. Nad cichym miastem rozstala się niepo-
dowiać przekońd czasu obłędnie Lwowa i jego
O prawdziwości tej legendy mógł się i zasieć nie-
w którym spoczywa młody, niewiary człowiek-dzieciś.
Widać, że Aniołowie Boga strzegą domostwa
sła bura.

chodzą najstarszemu nad nim sta-
którem był matkę dziecko, nigdy nie
prześlana pełne pości, wierznie, ze

Czcigodnemu Opiekunowi Dzieci

Herbertowi Hoodowi

Wszystko Ci życzę

Tato, słyszysz o dziecku?

„... a jaki cud, jaki?

Tato, słyszałeś o cudzie?”

Mickiewicz: Dziady.

Istnieje prześliczne, pełne poezji wierzenie, że w dom, w którym śpi maleńkie dziecko, nigdy nie uderzy piorun, choćby najstraszniejsza nad nim szalała burza.

Widać, że Aniołowie Boży strzegą domostwa, w którym spoczywa mały, niewinny człowiek-dziecię. O prawdziwości tej legendy mógł się i zacięty niedowiarek przekonać czasu oblężenia Lwowa i jego okolicy. Nad cichem miastem rozszalała się niepoślednia burza, pełna grozy, — a zdało się — bez końca! Chyba niewiele jej podobnych i sroższych wymienia historia w dziejach świata. Noc i dzień niosła zniszczenie, nie ustając przez pół roku. Z paszcz armatnich miotane pociski leciały na miasto z czterech stron świata. I wschód i zachód, północ czy południe znały raz wraz to świetliste węże niby rakiety, to obłoczki szaro-niebieskie, które w pędzie szalonym zniżały się nad kościoły i domy, by je zamienić w perzynę. A jednak, — a jednak zrywały zaledwie dachy, rozwalaly kominy z łoskotem, rozdzierały piersi domów,

ich ściany, to znów wyrywały płyty z chodników w stawach mąciły wodę, a starym drzewom ścinały dostojne korony; a przecież mieszkańcy, cudowną otoczeni opieką Bożą, żyli, pracowali, do świątyń uczęszczali cało i zdrowo. Na przypuszczalną ilość 22.000 pocisków armatnich przeróżnego kalibru i ciężaru wysypanych na Lwów — tysiące ludzi powinno było zaścielać trupami ulice, tysiące domów powinno było przywalić rumowiskiem swych mieszkańców, grzebiąc ich na wieczny spoczynek. Jednak stało się inaczej: w zdrowiu ciała, z zahartowaną wolą, doczekali... zwycięstwa! Aniołowie Boży ochraniaли skrzydłem niewidzialnem ludność wierzącą, ufna i nie pragnąca krzywdy ani też ucisku swych braci! Gdy rzucony ręką zaślepionych nienawiścią ludzi pocisk już, już groził zagładą, muskał dach, chcąc się wpić w serce domu, Anioł niewidzialny zsuwał śmiercią zięjące żelazto na pusty chodnik — na pusty plac. Czasem zdawać się mogło, że Anioł Boży spóźnił się z ratunkiem; ślepe narzędzie nienawiści ludzkiej dosięgło już domu, wywaliło ścianę, za którą byli ludzie, pod którą spały, ręką matczyną przeżegnane dzieci, a wtem Anioł-Stróż nadbiegał, osłaniał dorosłego i uprowadzał na bok staruszka w bezpieczne miejsce, przechylał łóżeczko dziecka, aby go gruz nie zranił, — to znowu zginał kunsztownie blaszaną głowę łóżka i jak tarczą osłaniał maleństwo. Innym razem dziecko, zasypane ciężarem kilkunastu wielkich, zdruzgotanych szyb, miało zginąć w mękach, a tu Anioł-obronca nadbiegał, niewidzialnie tchnieniem swem małego człowieka otulał i dziecko wychodziło z pod kupy jak sztylety ostrego szkliwa, bez zadraśnięcia!

I jakżeż mogli Aniołowie zapomnieć o tych, którzy ufnie wzywali ich pomocy! Gdy dzień rozwidniał oszpecone, okaleczone ulice bohaterskiego, nieszczęśliwego miasta, i gdy noc nad niem zawisała z okropną

grozą pełną łoskotów, świstów i poryków, ludność polska Lwowa łączyła się zarliwie z modlitwą prze-
ważnie młodocianych, a tak nielicznych żołnierzy,
którzy w koszarach, co dnia, pod tę porę śpiewem
chwalili Boga. O, jakże ludzie, dawniej może wątpiaci,
czekali tej chwili wspólnej modlitwy! „Twierdzą nam
będzie każdy próg, tak nam dopomóż Bóg“ — kończyli
słowami „Roty“ — i Bóg zamieniał ich domy w twierdze,
a na ich progach niezdobyte czuwało serce polskie.
Modlitwa ta zaklinała w żołnierzu i mieszkańcu bez-
bronnym cud bohaterstwa, męstwa, zaparcia się siebie.
O ileż ona wlewała mocy! Toteż zatrzymywała ludzi
na miejscu, w obleżonym grodzie, który wróg drwiąco
nazywał „wyspą“, dokoła zalaną przeciwnikiem, wyspą,
która paść musi. Gotowano się w niej pohulać. I... gdyby
ta „wyspa“ była się poddała, byłaby płonęła dłużej,
niż nieszczęsna Kartagina. A jednak nie padła, nie
spłonęła, nie zaorano jej, jak w Kartaginie, śladów
wiekowej kultury, bo cud Boży dodawał męstwa ko-
bietom — a nawet dzieciom! Na jedno hasło: „Ojczyzna“
młode i starsze kobiety stanęły do służby wszelkiej:
kurjerskiej, pielęgniarskiej, a niejedna drobna rączyna
chwyciła za karabin — matki zaś, niebaczne na nie-
bezpieczeństwo, z trudem zdobywały żywność i, jak
manną na puszczy, obdzielały zgłodniałych; w dniu
zaś wybuchu amunicji, z niezachwianym spokojem
pielęgnowały chorych czy rannych synów, przytom-
nością swą i spokojem pełnym godności przyczyniając
się do podniesienia ogólnego wysokiego nastroju,
którego milczący „rozkaz“ brzmiał: „Wytrwać mimo
wszystko do końca!“ Czyż wobec tak świętego speł-
nionego hasła, wobec faktu, że młodzież, zaledwie
wyszła z dzieciństwa, stawiała w szeregi walczących,
szepcując modlitwę: „Kto się w opiekę poda Panu
swemu“, czyż Aniołowie Pańscy mogli nas opuścić?
Biblia nas uczy, że dla trojga wiernych ocalił Bóg

Niniwę — a jakżeż nie miałyby ocalić pięknego Lwowa, w którym tyle nie tylko niewinnych, ale i dzielnych było dzieci!

Wspominając te dni grozy a zarazem moralnego tryumfu i mówiąc o dzieciach w szczególności, chciałoby się z Jachowiczem zawołać:

„O! to cuda nad cudami!
Co się to dzieje z dziatkami!
Śpią spokojnie w swem łódeczku,
A nadzieja śpi w syneczku!”

Tak, synaczek spał cichutko i ufnie, choć trzaskało, skowyczało nad nim i dokoła niego, a w nim drzemała, rosła, potężniała miłość Boga i kraju i nieraz bywało, że synaczek budził się nie dzieckiem, ale małym, świadomym celów bohaterem, — wyrывał się z objęć żegnającej go matki do rowów strzeleckich, gdzie marznął, głód cierpiał, rany znosił a nieraz — przeświadczony o skuteczności swej ofiary umierał — z pogodą — dla Polski! Tak żył dziecko-chłopiec czasu oblężenia Lwowa, gdyż w nim spełnił się i dokonał, wymodlony od stu lat przez babki i matki cud najwyższej — niezapłacalnej niczem miłości i ofiary dla kraju i dla wielkiej, wspólnej rodziny — narodu!

Cuda Boże, których świadkami byliśmy wszyscy, których, że się tak wyrazimy, i nie wierzący mógł się dotknąć, aby się o nich dowodnie przekonać, dzielą się w oczach zdumionego i zachwyconego obserwatora na dwie jakby grupy: na cuda ocalenia od niechybnej śmierci lub kalectwa i na cuda męstwa i poświęcenia wprost nieprawdopodobnego.

I.

Na spokojnych, bezbronnych, a krótkowidzących mieszkańców Lwowa, którzy na posiedzeniach radzili, jak zgodnie podzielić życie i współpracę z bratnim narodem w razie rozpadnięcia się Austrii, spadł nieoczekiwanym piorunem dzień 1 listopada 1918 r. Ciężka pięść uzbrojona po cichu, podstępnie, w pruską broń, podżegana i subwencjonowana, spadła na miasto modlące się w dniu tym za umarłych. Od grozy mieszkańcy Lwowa sami na chwilę zamarli. — Ale zaraz, momentalnie rozpoczął się w nich cud rozbudzenia i męstwa. Z gołemi rękami przyszło ludności, a w szczególności młodzieży polskiej zdobywać uzbrojone auta, strzelające bez powodu do bezbronnych na prawo i na lewo. Nie można się było długo namyślać: ludzie najspokojniejsi, idący na Mszę, co dzień bywali napadani, jak np. kobieta, wychodząca z katedry, jak dziewczyna przy ul. Kącik, albo młody Bourdon, niosący torbę ziemniaków (ul. Zyplikiewicza). Nawet małe dzieci nie były pod tem berłem pewne życia! Dwunasto-letni chłopczyk Michalewski, syn urzędnika Uniwersytetu Jana Kazimierza, za to, że bawił się zupełnie zepsutym rewolwerem, znalezionym na śmieciach, bez sądu postawiony pod mur i kulą zbrodniczą zabity pod progiem domu nieszczęsnej matki (ul. Kącik 1).

Prasie zakneblowano usta, demolując maszyny, aby się społeczeństwo polskie nie mogło porozumiewać i podtrzymywać na duchu, narzucono natomiast dzienniki, pisane cyrylicą! Teror dziki i nieubłagany rósł... Trzeba się było skupić do wspólnej obrony. I dlatego znalazła się broń w naszym ręku — inaczej byłby jej Polak przenigdy przeciw narodowi ruskiemu nie chwycił!

Całe miasto stało się obozem i linją bojową. Wobec tego życie starców, kobiet i dzieci każdej chwili było narażone na śmierć niechybną tak na ulicy, w kościele, jak i we własnym mieszkaniu. Przypatrzmy się niektórym domom i ich życiu, cudownie chronionemu w ciągu pierwszych dni walk, tak w centrum miasta, jak i na jego peryferjach.

W samym sercu Lwowa gorzała broniona i zdobywana po bohatersku poczta główna. Dokoła niej mieszkania stały pod ciągłym ogniem. Tak np. okna prof. Łukasiewicza były istnym celem dla kul karabinowych. 125 szyb rozsypało się w tym domu w drzazgi. Trzy granaty wpadły przez dach. W pokojach frontowych od ulicy Sykstuskiej kule świstały w różnych kierunkach. Jeden tylko pokój był nieco osłonięty murem kamienic. Tam przeniesiono sypialnię. Pewnego dnia nad ranem dziwne uczucie opanoowało panią Ł. Zbudziła męża i o 5 rano wyszli z zacisznego pokoju do frontowych. W tejże chwili granat zrujnował doszczętnie sypialnię. Państwo Ł. cudem ocaleli.

Naprzeciw ogrodu jezuickiego ulokował się nieprzyjaciół w mieszkaniu dr. Bogumiła Bieńkowskiego o 2 w nocy dnia 3 listopada. Kilkudziesięciu żołnierzy zajęło piękne pokoje na obóz czy warownię, z której strzelano do ogrodu jezuickiego, a więc do naszych żołnierzy. Gospodarzy zepchnięto wraz z trzema córkami do ostatniego pokoju, skąd nie wolno było im

się wychylać. Przechodziła też cała rodzina istne tortury, widząc, że ich dom jest strzelnica, śmierć zięjącą na naszych młodocianych obrońców. Trudno sobie wyobrazić okropniejsze położenie domu: naprzeciw ogród, zamieniony w obóz polski, po lewej stronie gorejący gmach poczty, po prawej sejm w płomieniach! Przez cały czas tego życia na linji, a więc przez nieskończenie długich dni 19 modliły się dzieci żarliwie i odmawiały nowennę, prosząc Boga o ratunek i zwycięstwo. Od początku doznały cudu. Oto pierwszej nocy umieszczony w oknie salonu nowiu-teńki, pruski karabin maszynowy odmówił posłuszeństwa — i choć przez tę noc nie był groźny.

Wiara w zwycięstwo dobrej sprawy była tak mocna, że duch nie tylko w rodzicach, ale i u dziewczynek był krzepki i prawie pogodny w stosunku do przeżywanych tortur i przyczynił się niemało do przetrwania tego niewysłowionego pod każdym względem udręczenia. Meble, obrazy, a nawet ściany były zniszczone i przedstawiały kupę gruzów — ale rodzina cudownie ocalała.

A cóż się działo w rozrzuconych, dalekich dzielnicach?

W małym, starym domeczku przy ul. Stryjskiej mieszkali państwo Müllerowje. Do nich docierały często kurjerki z ważnemi „rozkazami“, to idąc, to pełzając pod gradem kul. Domek przechodził ogniste dzieje — to był przed, to za linją — albo też samą linją bojową. Komuż więc zawdzięczają jego mieszkańcy swoje ocalenie? Czy cienkim, starym ścianom, czy małym okienkom, wiecznie na pociski odsłoniętym? Był to prawdziwy domek z kart, który pierwszy lepszy pocisk mógł zdmuchnąć bez śladu — a jednak Anioł Boży ocalił go i uratował patrijotycznych jego mieszkańców.

Bez istnienia i współdziałania cudu trudno sobie

wyobrazić egzystencję ludzi w tak odległej willi, jak pp. Drescherów na Persenkówce. Stoi ona za samą linią kolejową, która była wiecznym placem boju. Nieszczęsny dom wiecznie staczał wraz z kombatanami śmiertelne turnieje. Państwo D., tylko na rozkaz stacjonującego wojska, opuszczali chwilowo mieszkanie i chronili się do zabudowań Zakładów elektrycznych, które również stały wciąż w ogniu. A przecież duch mieszkańców był najlepszy, mimo że syn najstarszy poległ w legionach, dwóch młodziutkich synów, bliźniaków, było w ustawicznych walkach, a dwóch najmłodszych za przyzwoleniem matki zgłosiło się do służby. Ale tych dla nieletności odesłano do domu, który był właściwie sam twierdzą i obozem. Nie darmo dom odtąd nosi nazwę „Placówki“, a powinienby się właściwie nazywać „Cudowną“, albo „Bohaterską Placówką“.

Spójrzmy na inne jeszcze domy, leżące prawie za miastem i będące również w ustawicznym niebezpieczeństwie, np. na willę p. Pawłowskich przy ulicy Racławickiej. Mimo że ludność tej ulicy zdana była na łaskę losu, na duchu mocną była i krzepiła się cudownie wiarą w opiekę Bożą. Iluż to chłopców, ilu nieletnich chłopaczków, w mieszkaniu pp. P. broń miało złożoną? ilu przyszło odartych i bosych, a odeszło nakarmionych, odzianych i przekradło się szczęśliwie do okopów? — Czyż nie cudowny był wjazd zdobytego brawurowo auta (na placu Marjackim), które z hukiem, ciężarowym wozom właściwym, wtoczyło się do pięknego, zacisznego ogrodu? Po nocy, pełnej niepokoju i nieudanej rewizji, odstawił młody p. P. auto do szkoły Sienkiewicza, wówczas dopiero początku serca organizującej się obrony. Na cóż byli narażeni mieszkańcy willi, gdyby Anioł Boży był ich tej nocy choćby na chwilę odstąpił? Gdy w późniejszych miesiącach, co dnia, zajeżdżał naprost domu

pociąg pancerny, zdawało się, że wszystkie pociski w niego są mierzone. Padło w jego podwórze i ściany tylko ośm granatów, nie raniąc nikogo!

Niebezpieczeństwo życia, a tem bardziej pracy potęgowało się w takich zakładach użyteczności publicznej jak Zakłady elektryczne na Persenkówce, lub Zakłady Wodociągów miejskich przy ul. Zielonej, jak dworce osobowe i towarowe na Grodeckiem czy też na Podzamczu. — A jednak ludzie, owiani cudem miłości dla kraju i obywatelskiego obowiązku, nie cofali się przed niczem! Nie istniało dla nich niebezpieczeństwo śmierci. Wśród ustawicznie ku nim kierowanych salw, pełnił służbę swą cały personal Zakładów wodociągowych. Bywało nieraz, że robotnik odbywszy swoje pół dnia pracy, kanałami przekradał się na linię i chwycił za karabin. Co za szczyt pięknego poświęcenia bez odznaczeń i rozgłosu — spełnionego jedynie dla idei!

Bywały dni, w których w mieście był względny spokój a na Persenkówce odbywały się utarczki i położenie stawało się groźnem. To też mieszkańcy i pracownicy Zakładu żyli w ustawicznym ogniu. Sama praca w hali, której dach szklany nie stanowił żadnej ochrony, należała do najtrudniejszych, tem więcej, że przeciwnikowi zależało na zniszczeniu urządzeń i pogrążeniu miasta w ciemności; skierowywał zatem wiecznie pociski na Zakłady Elektrowni. Pracowano zatem pod ogniem niejednokrotnie siarczystym; a kiedy przyszedł pożar, którego nie było komu gasić, gdyż fachowcy wrócili do miasta po liny, robotnicy i robotnice — wśród nich wiele dziewcząt wiejskich — pod dzielnym kierunkiem nie odstępującej ich nigdy władzy zwierzchniej, z niesłychaną brawurą podjęli się akcji ratunkowej — nad wyraz ciężkiej i niebezpiecznej. Wobec rzuconych tam pocisków ilość wy-

padków śmierci była minimalna — a nie wydarzyła się nigdy wśród pracy.

W czasie wybuchu amunicji na dworcu Czerniowieckim stał płonący pociąg a obok niego drugi z ekrazytem, któremu straszne groziło niebezpieczeństwo. Dostrzegł to maszynista z ogrzewalni, p. Stanisław Starzecki, podjechał na maszynie do pociągu, odłączył zagrożone wagony wśród takiego gradu strzałów, że jedne leciały po bokach, inne pomiędzy odczepiane wagony. Cud Boży towarzyszył męstwu i nie tylko ocalał ekrazyt i ten, co go ratował, ale i domy kolejowe, którym straszny co chwila groził koniec.

A jakież to dobre Anioły prowadziły ludzi z gmin podmiejskich do Lwowa, wśród istnej burzy huraganowej pocisków w grudniu 1918 r.? W sam dzień wilji, kiedyto ludzie zasiadają do stołów, łamiąc się opłatkiem na znak miłości i braterstwa, prowadziła p. Roszkowska z Krzywczyc dwoje dzieci, synka swego Jasia (trochę starszy był w polu) i małą H. Stefańską do Lwowa. Chciała dzieci ulokować w mieście, gdzie wśród licznych kamienic wydawało się, mimo wszystko, zaciszniej, niż w pustce wiejskiej. Gdy byli już w szczyrim polu, burza pocisków rozszalała się dokoła. Przed nogami idących padały granaty ogniem ziejące — z tyłu łoskotem zupełnie ogłuszały, na prawo i lewo wyrwały ziemię — istne morze gorejącego żelaztwa. Wobec tego matka straciła nadzieję dojścia do miasta czy też powrotu do siebie, chciała usiąść na ziemi i czekać po prostu końca. Ale chłopczyk prosił: „Mamo, spróbujmy iść.“ I poszli, odmawiając: „Kto się w opiekę poda Panu swemu“. Pan też zesłał Anioła, co strwożone sprowadził dziecięta wraz z matką w zaciszne miejsce.

Niemniej okropnie działo się na wsi, np. w Jaryczowie Nowym, trzy mile od Lwowa odległym.

Ostatnie dni przed wkroczeniem wojsk naszych były tam okropne do przybycia: ciągle rewizje, rabunki, wyroki. W domku pod lasem niewesoło toczyło się życie. Ojciec rodziny ukrywać się musiał, gdyż go poszukiwano, została tylko matka z czterema młodziankami córkami, z których dwie najmłodsze nie przekroczyły wieku dzieciństwa. Gdy podczas rewizji rabowano rzeczy, a matka czyniła przedstawienia żołnierzowi, rzekła najstarsza dziewczynka: „Niech go Mama o nic nie prosi.“ Rabuś wychodzący zawrócił, a po minie poznawszy, kto mówił, wypalił do najstarszej. Kula przeleciała nad głową i utkwiała w suficie. Kiedy wróg dostrzegł, że będzie musiał wieś opuścić, wydano rozkaz uprowadzenia dzieci i wysadzenia domu w powietrze. Żołnierze przynieśli już granaty ręczne, przygotowali bańkę z naftą. Zagłada niechybna wisiała nad całą gromadką niepewną o losy ojca w tej strasznej chwili. Modlitwa gorąca, ufna, stanęła za całą „tarczę i puklerz mocny“. Bóg też mocą swoją i łaską rozbudził ludzkie serce u przywódcy, który w decydującej chwili odwołał swych żołnierzy z umysłu w przeciwnym kierunku.

Wróćmy jeszcze do oblężonego miasta.

Aby nie narażać dzieci na chodzenie ulicami, szkoły publiczne zamknięto. Jedna tylko gromadziła dzieci, i w niej odbywano naukę. To szkoła Klementyny Tańskiej. Zaczynała dyrektorka p. Aleksandrowiczówna pragnęła tu skupiać dzieci z dwóch powodów: aby im dać godziwe zajęcie, gdyż dzieci wymęczone i wystraszone nie wiedziały nieraz, co z sobą począć, a po drugie dlatego, że uczennice żyły przeważnie w ubogich, wówczas nieopalanym, lodowatym mieszkaniach. Dopóki więc szkołę starczyło węgla, do dnia 4 marca 1919 r., dzieci uczęszczały na naukę. Dziewczynkom przychodziło to z łatwością, gdyż wszystkie były z pobliskich ulic, ale całe grono nauczycielskie z prawdziwym poświęceniem zdążyło z naj-

dalszych, najbardziej eksponowanych ulic. Jeśli w czasie nauki zwiększyła się i wzmogła strzelanina, przeprowadzano dzieci do klas zaciszniejszych w parterze. Uczennice po modlitwie gorącej przed ołtarzykiem Matki Boskiej zachowywały się zupełnie spokojnie, nie zważając na walące gromy, pewne opieki Bożej, która też ich nie opuściła ani na chwilę. W czasie nauki trzy granaty ugodziły w sam budynek, nie wyrządzając szkody w ludziach. Tylko dziewczynka tercjana zasypana została drzazgami 16-tu zgruchotanych szyb, wyszła z tego jednak bez zadrażnienia. Nadmienić trzeba, że ofiarna praca staruszka-tercjana umożliwiła dzieciom uczęszczanie do szkoły. Staruszek bowiem nosił bez szemrania wodę z ulicy i to tyle, ile jej było, po zniszczeniu wodociągów, potrzeba, aby w budynku utrzymać wzorową czystość. Jeszcze dotąd szkoła nie zabiłżniła swych ran od zewnątrz i wskazać może przechodniom, jakto wola Boża cudownie czuwała i osłaniała ludzi, a tu specjalnie dzieci, chroniła je, zatrzymując zabójcze narzędzie śmierci tuż nad ich głowami, „darząc je życiem i zdrowiem“.

Z tysiącznych, nieprawdopodobnych wprost ocalań wymienimy choć parę, które bezsprzecznie wkraczają w dziedzinę cudów.

W dniu 16 stycznia 1919 r. siedziały trzy dziewczynki: Irena, Zosia i Marysia Walewskie przy oknie od ul. Jabłonowskich 18, na I piętrze. Dłuższą już ciszę przerwał granat, — z piekielnym łoskotem wyrwał kawał ściany i okna, przez które patrzyły dzieci. W pokoju potrzaskał sprzęty, runął na piec, stamtąd na posadzkę — mimo to nie wybuchnął. A cóż się stało z dziećmi? Jednej z dziewczątek nasypało się pełno szkła do ust i uszów, ale w tejże chwili rzuconą była o ziemię tak, że nie tylko szkłem się nie udławiła, ale nawet nie skaleczyła.

W pierwszych dniach stycznia 1919 r, uderzył pocisk armatni w ścianę domu przy ul. Zaścianek pod liczbą 11A, około drugiej godziny z południa. Rzecz dziwna, że mieszkająca tam w parterze p. Potocka tegoż rana chciała wyjechać z siostrą i córeczką ze Lwowa, wskutek jednak przewrócenia się sanek wróciła i zmęczona nieudaną wyprawą, ułożyła dziecko do łóżeczka, a sama położyła się również, aby wypocząć. Granat eksplodował w murze, robiąc wyrwę o średnicy prawie metrowej wielkości. Wskutek tego posypał się gruz z szalonym impetem z grubej niezwykle ściany. Mógł zmiażdżyć dosłownie matkę i dziecko, lecz w drodze swej pozaginał głowy łóżek w ten sposób, że nad śpiącymi utworzył tarczę ochronną. Skończyło się na przerażeniu i na spotęgowaniu wiary w moc Bożą u świadków tego cudownego ocalenia.

Wieczór Wielkiego Piątku zaznaczył się zdwojonym rykiem dział, ulice opustoszały — noc ciemna zapadła złowrogo. Zdawało się, że szatany wyprawiają harce dzikie w powietrzu. Młode dziewczę M. Oleszkówna, odprowadziwszy na dworzec chorego, wracała sama, jak przystało sierocie. W ulicach ani żywej duszy. Coś niewypowiedzianie strasznego działało się dokoła i w duszy dziewczęcia. Mimo odwagi chciała na chwilę się schronić pod dach, ale wszystkie bramy przedwcześnie zamknięto. Tak ciemno! A tu ślepia szatańskie świecą dokoła, szczerkają rozwścieczone biesy, wałą się urywane pociskami cegły! Na moment przytuliła się do muru kamienicy, ale wnet sięgnąwszy po najlepszy środek ratunku, przeżegnała się myśląc: „Nie pierwszy to raz i nie ostatni. Jeśli Bóg zechce, to mię doprowadzi szczęśliwie“. I nad sierotą pochylił się Anioł-stróż i bezpiecznie wiódł ją czarnymi ulicami.

W tenże sam okropny wieczór kąpała dobra mamusia swe dzieci w domu przy ul. Długosza 27. Najmłodsza z córek, Ewunia Postępska, ukończyła właśnie toaletę i leżała już w łóżeczku — również i najstarsza Jadwisia. Średnia zabawiła się dłużej z matką w łazience, gdyż prała suknie swych laleczek na święta. Wtem łoskot rozległ się okropny, pocisk uderzył w pokój, w którym leżały dziewczynki. Całe mieszkanie zaległy ciemność, pył i rumowisko. Struchleli rodzice nie śmieli wejść do sypialni dziecięcej, sądząc, że ujrzą dzieci poszarpane w kawałki. Naraz w ciemności coś chwyta ojca za nogi, a cienki, wyłekniony głosik zapytał: „Czy jest Mamusia i Tatusz?” Starsza zaś, w bieliźnie, z mokremi włosami wybiegła do sąsiadów, pytając, czy żyje Ewunia? Obie siostrzyczki były nietknięte walącym się gruzem, choć łóżeczko Jadwisi stało na wprost wybitej ściany, a Ewuni pod samąże krytyczną ścianą. Dobry Aniołek pośpieszył na czas z pomocą, zerwał dywan, otulił nim łóżko, przechylił je tak, że dziecko było niem zupełnie osłonięte!

Do mieszkania p. Ignacego Dąbrowskiego wpadł granat i nie zważając na to, że wszystkich pobudzi, wtoczył się do sypialni; rodzina wyszła z tych odwiedzin spóźnionych szczęśliwie, prócz lekkiego zadraśnięcia dziecka.

Inny granat zawędrował na Sygniówkę i podczas obiadu zaszedł w tempie pośpiesznem do jadalni, ale obiad ukończono z apetytem, gdyż potwór nie wybuchnął.

II.

W rzędzie bohaterskich poczynań z okresu oblężenia Lwowa cisną się przed oczy bezstronnego widza czyny całego zastępu kobiet od najmłodszych do najstarszych. Mamy tu na myśli naturalnie tylko te kobiety, które dla idei podejmowały służbę pielęgniarek czy kurjerek. Czyż może być większe bohaterstwo, większy cud ofiary, jak narażenie siebie, oddawanie swego życia bez odbierania go drugiemu — choćby nawet wrogowi! Mówiąc o poświęceniu się Polek z czasów oblężenia Lwowa, nie można zapomnieć o wyjeździe misji Czerwonego Krzyża do obozu naszych jeńców po stronie ruskiej. Delegatkami były: Marja Dulębianka, Opieńska i hrabina Dzieduszycka. Ile w drodze tej przecierpiały, aby swoim zanieść słowo pociechy i otuchy i na co się narażały, najlepszy dowód, że pomimo wszelkich pierwotnych zastrzeżeń nie chciano delegatek polskich puścić do Lwowa z powrotem, i tylko zdecydowanej postawie i energii M. Dulębianki zawdzięczały dzielne kobiety ostatecznie swój powrót. Jakże na krótko! W okropnych Mikulnieckich barakach, w których na tyfus plamisty umierali nasi zgłodzeni widma-żołnierze, nabawiły się tej strasznej choroby. Ledwieśmy je radośnie witali, ledwie

miały czas poroszyłać stęsknionym rodzinom listy od synów, pełniąc służbę obywatelską pomimo nurtującej choroby do ostatniej chwili, jak dzielny żołnierz na placówce, a już jedna po drugiej umierała w mękach. Naprzód znana z nadzwyczajnej dobroci hr. Dzieduszycka, następnie nieodżałowanej pamięci patriotka i społeczniczka Marja Dulebianka. Jedna tylko Opieńska, po strasznych zapasach ze śmiercią, wrócona została niestrudzonej pracy na niwie ojczystej. Tamte dwie przodownice umarły, ale cud ich miłości dla kraju żyje i przyświeca jasną pochodnią kobietom polskim w chwilach przełomów. Świecić on będzie zawsze na rozstajach tak, że w każdym przypadku odnajdą właściwe drogi — i niemi pójda...

Przypatrzmy się pracy młodych Polek. Z góry zaznaczyć muszę, że dla braku miejsca i czasu setki imion najdzielniejszych kobiet ze wszelkich kół towarzyskich i obozów, z żalem pominąć musimy w tym małym obrazie.

Służbę kurjerską zorganizowano przeważnie w dwóch centrach: w Sokole gromadziły się skautki pod komendą p. Opieńskiej, w Komitecie Obywatelskim Polek (Plac Akademicki 1) nauczycielki, urzędniczki i inne pod komendą p. Aleksandry Zagórskiej. Ta placówka była początkiem i niejako zawiązkiem Legji kobiet, istniejącej po dziś w całym kraju. Prócz tego kurjerki miały też swoje ogniska przy MSO (Miejskiej Straży Obywatelskiej), np. przy ul. Bourlarda, gdzie kierowała niemi p. Czesnakówna, później p. Joanna Makowska. Służba kurjerek była twardą i pełną niebezpieczeństw. Ani odległość, ani słońce i mróz czy też zapadająca noc nie stanowiły dla nich przeszkody. Ilekroć razy wśród huraganowego ognia, to idąc, to pełzając po ziemi, doręczały na czas we wskazanym miejscu dane „rozkazy“, jak np. za parkiem

Łyczakowskim i Ła Drelchowska. Heżto imion młodziutkich, dzielnych panienek ciśnie się i staje na raz w pamięci: Kulikowska, Wronowska, Pileckie, Kozłowska, Wolffówna, Müllerówna, Nowicka, Paleolożanka itd. Jedna tylko z tego patryjotycznego zastępu padła, pełniąc służbę: piękna, dobra i dzielna p. Sulimirska. Padła, lecz pamięć jej żyje i powiększa jasność świetlistej drogi mlecznej, po której idą gwiazdy i... duchy wybranych...

Pierwszą placówką sanitarną z grona skautek zorganizowano na plebanji kościoła św. Elżbiety. Służbę pełniły trzy młode skautki: J. Czechowiczówna, E. Trzcńska i Jaroschówna. Przed ich oknem pełnił służbę 13—14 letni studencik. Pierwszym rannym, jakiego z trwogą początkujących opatrywały, był chłopczyzna co najwyżej 17-letni. Dokoła kościoła, na placu Bilczewskiego, placówki składały się z samych młodocianych żołnierzyków. Noc czarna, zimna. Dzieciaki drżały źle ubrane. Dopiero mina zgęstniała, gdy ukazały się dwie skautki z herbatą i „naszym chlebem powszednim“, a były to siostry p. Majchrowiczówny. Jak widzimy: sama młódź — prawie że dzieci. Nieraz bywało — przyznają skautki szczerze — modliły się gorąco, biegnąc z rozkazem i błagając w sercu Boga, by mogły go doręczyć szczęśliwie i wrócić do wychekujących na nie matek. Bóg je też wspierał, zsyłając niewidzialną pomoc. Nielicznie tylko kula wraża ścinała piękne młode życie, ale Bóg to dopuszczał widocznie, aby nas pouczyć, że dla kraju w chwili każdej, a tem bardziej niebezpieczeństwa, przed żadną ofiarą cofać się nie można.

Tak zaraz na początku padła jedna z pielęgniarek przy placu Bema. Nie osłonił jej, z dała widoczny Czerwony Krzyż. Nieprzyjaciół nie tylko nań nie zważał, ale przeciwnie niejednokrotnie brał go za cel.

Że kobiety ofiarnie oddawały zagrożonej Polsce swe życie w dobie obecnej — nic dziwnego. Historia wieków ubiegłych dawała im wzory cudownego wprost męstwa i poświęcenia. Niechże nam wolno będzie odwrócić nieco pośólkę już karty z czasów Powstania 1863 r. Na tej karcie widnieje imię małej, sześciolatniej Florci Krzyckiej. Gdy na dom ojca jej, lekarza w Lublinie, gorącego patrioty spadały rewizje dzikich prześladowców, musiano chować papiery Rządu Narodowego tak, aby nie dostały się do rąk wroga i nie naraziły setek ludzi na śmierć, albo gorszą od niej syberyjską katorgę. Najczęściej ukrywano dokumenta w czeluści starego komina. Przez wąskie jego drzwiczki mogła się przedostać jedynie malutka i drobna postać Florci. Razu pewnego nocą napadli dom siepacze. Czasu tyle załedwie starczyło, by dziecko, zerwawszy się z łóżeczka, w koszulinie tylko schronić się mogło w czarną otchłań.

Rewizja trwała zda się bez końca. Odbijano szafy, odrywano podłogi, a tymczasem wicher zimny i deszcz ze śniegiem smagały dziecięcą, która na nic nie baczną, kurczowo do piersi tuliła papiery Rządu Narodowego, dla niej, przedwcześnie w niedoli dojrzalej, bezcenne i święte! W mieszkaniu doktora nie znaleziono upragnionych dokumentów, więc rozwścieczone żołdactwo odchodząc rzuciło się ku kominowi. Przez dostrzeżone w mroku drzwiczki wpakował żołnierz szablę i siekł nią na oślep w obłędnej pasji. Ojciec i siostry Florci zamarli z trwogi. Z komina nie wydobył się jęk ani westchnienie. Dokumenta były uratowane! Zbiry odeszli. Wtedy nieszczęsny ojciec porwał na pół rozwaloną lampę i przy jej niesamowitem oświetleniu ujrzał dwie cieniutkie strugi krwi, sączące się z komina. To nóżki dziecka, posiekane szablą, roniły wstęgi purpurowych koralii. Dopiero,

oddawszy ojcu skarb powierzony, omdlała na jego piersiach, szeptaając: „Ojczulku, schowaj papiery“. Odtąd okaleczała mała bohaterka — mała święta narodowa — i w młodym wieku przedwcześnie umarła.

Duch jej jednak żyje wśród nas i tym cudem niezbadanych tajemnic związał się napewne z duchem bohaterskich dzieci z obrony Lwowa.

III.

Jeżeli tak zaiste cudownym potrafi być czyn dziewczynki Polki, to nic dziwnego, że w obrazie naszym przesuwają się całe oddziały bohaterskie, szczególnie w pierwszej i ostatniej części obrony, młodocianych chłopców. Porwania się ich do czynu, stawania pomimo niepokonalnych przeszkód w szeregi nie wahamy się tedy nazwać porywem cudownym, tem więcej jeśli rozważymy tło, na jakim cała rzecz się dokonała. Za tło bowiem niniejszego obrazu służy kraj nasz, kilkakrotnie przeorany armatnim pługiem idących naprzód, to znów cofających się obcych armij. Do tła dołącza się czarnemi plamami deprawacja ogólna, jaką niesie bezlitosna wojna, podjęta w celach złych: dla utrzymania tej lub owej dynastji, dla podniesienia świetności finansjery obcej, pani o rękach chciwych i mocno brudnych. Jeśli do tego dodamy ramy wiotkie ogólnego wyczerpania, głodu i zupełnej bezbronności, to okres walk o Lwów musimy nazwać cudownym okresem bohaterstwa.

Kiedy bohater trojański, Hektor, chciał przed wyprawą pożegnać się z synkiem, dziecko tak się przeraziło jego hełmu z pióropuszem, że musiał go zdjąć z głowy, by się malec pozwolił uściskać. To nigdy nie mogłoby zdarzyć się — w Polsce! Tu chyba dzieci rodziły się same w szyszakach z białym orłem

miast pióropusza, bo w łonie matek swych wiedziały już, że dla Orła Białego żyć i umierać powinno. Dwa pokolenia — pradziadów i dziadów legły w zapasach z przemocą — trzecie miało ziścić cud wolności — zdobywając ją!

Chłopcy średnich wieków, którzy w 1212 r. podjęli Wyprawę Krzyżową — częściowo wyginęli — częściowo dostali się do niewoli — niewielu wróciło do domów, nie dotarwszy do Ziemi Świętej. Naszym chłopcom nie wolno było nie dotrzeć! Mógł dorosły czy malec lec od kuli, stojąc zmarznięty w lichej płaszczyźnie pod mostem, którego strzegł, mógł paść w bitwie z przeciwnikiem liczniejszym, mógł ranny dostać się do niewoli — ale tu już był czyn dokonany — bez niego — chyba nieletniemu dziecku wolno było wrócić na próg swej chaty.

Więc szli tak młodzi, że padając wołali: „mamo”. Więc szli tem więcej, że pomoc nie nadchodziła, toż nieraz i mały pacholik, ledwie wlokący karabin, przydał się bardzo. Zamiast sztucznego konia z ukrytymi rycerzami, jak w Troi, znalazła się dzielna kobieta, która wśród przeróżnych trudności przywiodła z Płocka kilkudziesięciu zuchów na pomoc walczącej młodzi. Była to pani X., później, za dzielność podczas oblężenia Płocka, odznaczona krzyżem walecznych. Więc szli... a gdy padali, to cud bohaterstwa otaczał ich młodzieńcze głowy aureolą nieśmiertelnej chwały czyli darzył ich życiem wiecznem we własnym kraju. Niech nam będzie wolno choć parę imion z początku obrony poległych — wymienić z czcią i pietyzmem: Wacław Żmudzki, złapany na Persenkówce 5 listopada 1918. Wskutek zaziębienia — zdarto bowiem z niego ubranie — dostał hiszpanki. Umierał z całą świadomością, że spełnił swój obowiązek. Od wrogów nie przyjmował ani pokarmu ani lekarstw. Księdzu spowiednikowi najprzysotniej podał nie

tylko imię swoje i nazwisko, ale i rodowe matki, aby nie było wątpliwości, że to on żyć przestał, aby go biedna nie czekała na próżno. Co za hart męski — godny starego wiarusa! A przytem ta dziecięca tkliwość, co mu kazała szeptać: „Mamo, ratuj!“ W parę miesięcy później padł starszy nieco jego brat, chłopczek nieulęknionej brawury i odwagi.

Józek Bitschan, 14-letni uczeń gimnazjum im. Jordana. Raz nie przyjęty w szeregi dla swego młodocianego wieku, staje w nich znowu w chwili krytycznej dla Lwowa. Rodzina znalazła go śpiącego snem wiecznym na którymś z grobów cmentarza Łyczakowskiego. Dokoła niego leżały kwiaty, którei jakaś nieznana ręka udekorowała małego bohatera.

O czemuz tu nie można wymienić wszystkich młodocianych ofiarników! Imiona ich, acz chwilowo przemilczane lub zgoła nieznane, padną na bujną rolę i staną się na pewne posiewem dla przyszłych pokoleń wytrawnych bojowników i pracowników rzetelnych!

Przypatrując się temu obrazowi, na który składają się cudownie męstwo, hart, ofiarność nawet własnego życia u młodzieży, kobiet i dzieci, wyczuwamy głęboko i niezachwianie, że w społeczeństwie polskiem spełnić się musi i dokona cud jeszcze jeden, nierównie większy i trudniejszy: zjednoczenia się, zrozumienia wzajemnego, miłości i zgodnej współpracy! Gdy się ta wielka rzecz u nas dokona — przestanie mówić Europa, że Polak umie tylko bić się jak straceniec, zdobywać prostopadłe ściany twierdz, z gołemi rękami wypędzać hordy zbrojne i armaty i umierać! Od tej cudownej chwili zjednoczenia,

Polak i Polka będą umieli pracować i żyć dla Polski. A wtedy stanie Ojczyzna nasza śmiało z odkrytą przyłbicą obok największych narodów w równym rzędzie, jak na to przez swą rycerskość, niepoślednie cnoty, przez swą iście romantyczną zdolność przebaczenia, a w przyszłości i mądrość stanu, zasługuje i zasłuży.

Lecz nie wyczerpalibyśmy skarbnicy „cudów“, jakimi Bóg Polskę, a w szczególności bohaterski gród Lwowa, w czasie zmagañ ostatnich darzył. Z serc ofiarnych szlachetnej młodzieży, kobiet i dzieci wzniósł się jakiś cudowny łuk tęczy, który olbrzymim świetlistym kręgiem połączył ponad oceany stary, znękany świat Europy, z nowym, potężnym i bogatym wielkiej Ameryki. Jakie to cudowne, że nic w naturze nie ginie, że żaden wysiłek szlachetny nie idzie na marne! Mimo dzielących nas wielu dziesiątek lat od chwili, w której Kościuszko i Pułaski chwycili za oręż w obronie wolności Stanów Zjednoczonych, przypominała sobie Ameryka, że zadzierzgnięta wówczas nie sympatji i przyjaźni nie zerwana — istnieje. Pomyślała też Ameryka, jak tu młódź nasza zмага się w śmiertelnych zapasach, i przysłała lotną Eskadrę im. Kościuszki — a więc serce za serce — broń za broń! Rozważyła też Ameryka, jak tu dzieci nasze żyją wyczerpane, znékane, głodne — i przyszedł rewanż drugi: okręty białutkiej mąki, świecącego ryżu, słodkiego cukru — biclizny...

Tę akcję właśnie niesienia pomocy dzieciom zawdzięczamy Tobie, Czcigodny Panie!

Żywisz dzieci nasze i przyjazną otaczasz opieką, Dostoiny Panie, więc pragnęliśmy dać Ci choć pobieżnie skreślony obraz ich duszy. Pragnęliśmy objasnić Ci i powiedzieć, komu dłoń hojną i braterską podajesz. I pewni jesteśmy, że gdy tę psychę polskiego dziecka dojrzysz, w tem nieco z natury swej

zaczarowanem jak w baśni zwierciadle czynów,
 powiesz swoim wielkim Braciom, że Ameryka wsty-
 dzić się niepowinna swej opieki i że nie powinna
 cofać swej silnej, zdrowej prawicy, którą ponad oce-
 any niesie ukojenie i ugruntowanie rycerskiej Polsce!

